

OKSANA ZABUŻKO

BADANIA
TERENOWE
NAD
UKRAIŃSKIM
SEKSEM



Jeśli chodzi o siłę wybuchu, to Henry Miller w spódnicy.
„Knyżkowa Teka”

OKSANA ZABUŽKO
BADANIA TERENOWE
NAD UKRAIŃSKIM SEKSEM



W serii ukazały się:

Robert Coover *Miasto widmo*

Harry Mulisch *Procedura*

Imre Kertész *Los utracony*

Majgull Axelsson *Kwietniowa czarownica*

Wiktor Pielewin *Generation ,P'*

Jáchym Topol *Siostra*

Michel Servin *Deo gratias*

W przygotowaniu:

Jonathan Safran Foer *Wszystko jest
iluminacją*

Imre Kertész *Kadysz za nienarodzone
dziecko*

Zeruya Shalev *Życie miłosne*

Michel Houellebecq *Cząstki podstawowe*

Samuel Beckett *Sen o kobietach pięknych
i takich sobie*

Aharon Appelfeld *Badenheim 1939*

Daniel Kehlmann *Beerholm przedstawia*

Majgull Axelsson *Daleko od Nifelheim*

Imre Kertész *Fiasko*

OKSANA ZABUŻKO
BADANIA TERENOWE
NAD UKRAIŃSKIM SEKSEM

Przełożyła
Katarzyna Kotyńska

Książka ukazała się dzięki pomocy finansowej Fundacji
im. Stefana Batorego oraz Next Page Foundation
i Open Society Institute w Budapeszcie
w ramach „East Translates East Project”.

Tytuł oryginału:

Польові дослідження з українського сексу

Copyright © by Oksana Zabuzhko, Kiev, 1996

Copyright © for the Polish edition

by Wydawnictwo W.A.B., 2003

Copyright © for the Polish translation

by Wydawnictwo W.A.B., 2003

Wydanie I

Warszawa 2003

Jeszcze nie dziś, powtarza sobie. Nie, jeszcze nie dziś. W kuchni – malutkiej *eat-in kitchen* (lodówka, kuchenka elektryczna, szafki z byle jak przyczepionymi rozchwierutanymi drzwiczkami – wystarczy się odwrócić, a zwisną bezsilnie, jak zmartwiała szczęka – i wszystko to odgrodzone niewysoką ścianką z listewek, czymś na kształt szynkwasu – można przezeń prosto z tej wąskiej zagrodki podawać do pokoju – pewnie, a czemu nie! – no, choćby poranną kawę albo, na obiad, piezzonego kurczaka, takiego jak z telewizyjnej reklamy: złociście przyrumienionego, lśniącego od nabrzmiałych soków, z figlarnie podgiętymi nóżkami, umieszczonego na rozłożystych liściach sałaty; piezony kurczak zawsze wygląda na szczęśliwszego niż żywy, wręcz jaśniej cudnym, smagłym rumieńcem z radości, że zaraz zostanie zjedzony – można też podawać jakiś *juice* albo gin z tonikiem w wysokich, grubych szklankach,

można z lodem, kostki tak śmiesznie postukują, kiedy się je nabiera, można i bez lodu, w ogóle jest masa możliwości, tylko pod jednym warunkiem – ktoś musi *siedzieć* po tamtej stronie tej cholernej przegrody, w której chyba załęgły się mrówki, bo po blacie co chwilę pełźnie coś, co w higienicznym amerykańskim domu pełzać nie powinno, zresztą w nieamerykańskim tak samo – ktoś, komu cały ten kram powinnaś z uśmiechem gwiazdy filmowej podawać z kuchni, ale skoro nikt tam nie siedzi i siedzieć nie zamierza, to pozwoliłaś sobie wznieść na przepierzeniu zaimprovizowany ogród zimowy z Bogu ducha winnych doniczek – trzy tygodnie temu, kiedy się tutaj wprowadziłaś, były to: wspaniałe ciemnozielone kłębowisko, całe w słonecznożółtych kwiatach – raz, i jaskrawe korale błyszczących, jakby były z plastiku, czerwonych groszków na wysokich łodygach, z elegancko zwężającymi się liśćmi – dwa; teraz obie doniczki wyglądają, jakby przez te trzy tygodnie dzień w dzień podlewano je kwasem siarkowym – zamiast bujnego kłębowiska smętnie zwisa kilka pożółkłych listków o nierówno opalonych brzegach, a niegdyś pękate czerwone korale coraz bardziej przypominają suszone owoce dzikiej róży, nie wiadomo po co ponabijane na rude patyki – najśmieszniejsze, że

właśnie nie zapominałaś, podlewałaś swój „ogród zimowy”, dbałaś o niego, jak uczył Wolter, jasne, *chciałaś* mieć coś żywego w tym kolejnym, diabli-wiedzą-którym z niekończącego-się-szeregu, tymczasowym domu, gdzie niezmywalny brud po wszystkich poprzednich lokatorach wżarł się w każdą szparę, tak że nawet nie próbowałaś go odmyć – ale podle amerykańskie zielsko okazało się zbyt delikatne dla twojej depresji, która niez mieszana gęstniała w tych czterech ścianach, wzięło i zdechło, czy je podlewałaś, czy nie – a ty byś jeszcze chciała, żeby ludzie z tobą wytrzymywali!) – no więc, w kuchni z drwiąco głuchym bulgotem woda kapie do zlewu, i nie ma czym zagłuszyć tego dźwięku – nawet kasety nie włączysz, bo przenośny magnetofon też się zepsuł. A, prawda, jeszcze za oknem, wąskim jak otwarte drzwi szafy, ciemnym o tej porze („blindersów” nie spuszczasz, bo naprzeciwno i tak jest tylko ślepa ściana), za siatką na owady natrętnie brzęczy, jak daleki dzwonek telefonu, niewidoczny świerszcz, może w niej utknął – właśnie tak samo brzęczy ta myśl, może to w ogóle ona brzęczy – a czemu nie teraz?... Nie już?... *Na co* masz czekać?...

Logicznie rzecz biorąc – na nic. Zupełnie na nic.

Pół paczki środków uspokajających plus zyletka – i: wybaczenie nieudany debiut. Staralam się naprawdę, słowo, a że ni cholery nie wyszło, to uczciwiej od razu oddać karty – żaden teraz ze mnie gracz, a dalej będzie tylko bardziej do dupy: światełka w tunelu nie widać, a siły już nie te: młodość diabli wzięli.

A jednak – nie, nie dziś.

Jeszcze poczekać. Obejrzeć ten film do końca. W przeciwieństwie do tych, które puszczają w tu-tejszych *public channels* – gdy w chwili największego napięcia, z dreszczem mimowolnego lęku patrzysz, jak bohater mknie przez pusty tunel, gdzie zza rogu za moment rzuci się nań straszliwy stwór, łapiasz się na tym – tfu, do diabła! – wszystko powinno dobrze się skończyć – jeszcze parę minut, bijatyka, kotłowanina, tarzanie się po ziemi, i stwór ryknie nieziemsko i jakimś cudem rozpadnie się w pył, a dzielny, tylko trochę stłamszony bohater, spowity dymem pożaru, łapiąc oddech, przytuli uratowaną Sharon Stone albo tę drugą lalunię, czarnulkę, jak jej tam – i dopiero co przeżyta groza w jednej chwili ujawni całą swoją śmieszność: znowu chłopcom z Hollywood udało się, choćby na chwilę, oszukać widza! – w przeciwieństwie do tych, film, którego mimo wszystko nie odważasz się wyłączyć, nie musi

skończyć się szczęśliwie. A jednak wyłączyć – to byłoby niewybaczalne świństwo. I głupota. I – dziecinada: nie odrobiłem lekcji, więc nie pójdę do szkoły. Nie, złotko („złociutka”, poprawia się ironicznie: tak mówił do niej ten facet, który chyba czuje się teraz jeszcze paskudniej niż ona, ale to już nie ma żadnego znaczenia) – nie, olać tego się nie da, musisz przejść to wszystko po kolei, a wtedy się okaże, ile naprawdę jesteś warta. *Poniatno?*

„Zapisz słowa, zrobim tatuaż” – szorstko i prostacko podchwytuje od niej całkiem inna kobieta, cyniczka o manierach wyraźnie zalatujących kminą, jakby przywiezionych z pierdła, zdolna w razie czego nawet kurwą rzucić: jeśli człowiek jako taki (każdy!) jest jednym wielkim więzieniem, to wcześniej ta żyleta na ogół mieszkała w niej gdzieś w najdalszej celi, rzadko wychodziła na zewnątrz, tylko gdy życie naprawdę przypierało do muru, a i to jakby na pokaz: „Zajeżdżą mnie” – cedziła przez zęby w chwilach rozdrażnienia, potrząsając głową i nadrabiając jadowitym uśmiechem, albo trawiąc posmak kolejnej obrazy (a tych ostatnio było aż za wiele!), z rozjarzonymi gniewem oczami opowiadała przyjaciółom: „Dziewuchę na posyłki chcą ze mnie zrobić –

a takiego!” – uderzała kantem dłoni w zgięcie zaciśniętej w pięść lewej ręki; w Ameryce ta zdzira spod celi nauczyła się kłąć po angielsku, szczególnie dobrze udawało jej się *Szszit!* – koci syk z wygiętym w łuk grzbietem, oraz pogardliwe *O, kaman, giw mi e brejk!* – raz kiedyś rąbnęła tym w tego faceta; w ogóle, przy tym facecie właśnie, ta nastroszona jak wiedźma, z chorobliwie błyszczącymi oczyma i z jakąś niewidoczną, ale wyczuwalną łagrową przeszłością, raz po raz wyrwała się na pierwszy plan, z rozmachem tłukąc delikatne naczynia niespełnionych nadziei, ten facet wyzwał ją, przywoływał do siebie z najdalszej celi – ledwie żyleta usłyszała, w pierwszym starciu, tę jego brutalną intonację, gdy sieknął: „Powiedz ty mi, po kiego chuja tu jechałem, takich samych pierdół miałem u siebie potąd!” – radośnie rzuciła mu się na spotkanie, bo rozpoznała w nim partnera, w tym jednym byli partnerami – i już nie ustawała, rozpanoszyła się w tej nieznaney wcześniej wolności: „Wczoraj zacząłem lepić głowę” – zaczynał przy niej opowiadać koledze rzeźbiarzowi i żyleta wyrwała się do przodu, gubiąc szpilki i guziki w niepowstrzymanym zachwycie słownej erupcji: „No jasne, ulep sobie głowę, kochanie, ulep – nie zaszkodzi!”. On ciemniał tak, jakby zamiast krwi

uderzał mu do twarzy atrament, i nachylał się do jej ucha: „Nie wkurwiał mnie!” – a wiedźma, wydmuchując dym, rechotała wewnątrz niej, po raz pierwszy od dawna wreszcie z czegoś zadowolonej: „Ejże, kochanie, gdzie twoje poczucie humoru?” – „Zostawiłem w tamtym mieszkaniu” – burczał; z tamtego mieszkania wynieśli się, dzięki Bogu, i najlepiej by było zapieczętować je po nich choćby na pół roku, żeby wywietrzało morowe powietrze: „To skocz po nie – szczyrzyła się wiedźma – zaczekam”. – „Oddałem klucz” – burczał, myśląc, że zamyka sprawę, ale się mylił: – „To ja oddałam klucz, a ty miałeś drugi” – replikowała: szybka, lawinowa szermierka na kije, za którą obcy po prostu nie nadąży, nie, mówcie, co chcecie, ale dobrali się w korcu maku! A teraz – teraz, gdy ona, sponiewierana, wypalona przez nieszczęścia do żywego, z przetrawionym na aceton, ale niepokonanym instynktem przeżycia (skąd to u ciebie, na litość boską?), powinna zaplanować nad całym więzieniem, wziąć na siebie odpowiedzialność za dalszy bieg jakiegokolwiek w nim życia, wydawać na wszystkie strony rozkazy: tu, od tych drzwi, wara, a te śmieci – won mi stąd w cholerę, a tamten oddział – przewietrzyć, teraz tam będzie muzeum, a co to za szkarada się tu płacze i ślini – no wynocha (ulep sobie głowę,

kochanie, ulep!) – teraz z kolei ona, żyleta (no bo przecież żyleta!) usunęła się, rozmazała po jakiejś najdalszej ścianie, ani widu, ani słyhu, i po wszystkich opustoszałych pomieszczeniach stojącego otworem więzienia rozchodzi się zupełnie inny, piskliwy głosik, trochę jak kwilenie niechrzczeńca: przemyka to tu, to tam nierównymi kroczkami, tup-tup-tup – i staje – i uderza o mury, wciąż w tym samym miejscu, za każdym razem coraz słabiej – i skowyczy, skowyczy, skowyczy biedna, niekochana, porzucona na dworcu dziewczynka, gotowa iść na rączki do każdego, kto powie: „Jestem twoim tatą”, ale kto coś takiego powie trzydziestoczteroletniej babie – tej właśnie dziewczynki sama w sobie nie kochasz, od wieku nastu lat starałaś się trzymać ją w najgłębszej piwnicznej komórce, bez chleba i wody, żeby ani drgnęła – a ona jakoś się jednak wycwaniła i ocalała, i jak ją teraz uspokoisz – teraz, kiedy wygląda na to, że oprócz niej innej ciebie nie ma, nie zostało?...

Wykończyłaś się, „złociutka”. Oj, wykończyłaś. Całkiem już odjeżdżasz – trzeci miesiąc nie ustaje drżenie mięśni, rano, kiedy się budzisz (a jeszcze teraz, kiedy budzisz się sama), pierwsze, co czujesz, to przyspieszone bicie serca, którego

niczym nie da się uspokoić; dobrze, że chociaż śpisz już bez pigułek, i te straszne ataki suchych wymiotów, które napadały cię nocą, przypominają o sobie co najwyżej, gdy przy myciu zębów za głęboko wsuniesz szczoteczkę – krótkim przyływem nudności, nieświadomą pamięcią komórkową o własnym tępym uleganiu natarczywym poleceniom, początkowo przynajmniej jeszcze podniecająco-namiętnie wyszeptanym, a po kilku tygodniach już tylko suchym i kategoriycznym: „Weź do buzi... Głębiej... No, głębiej!” – sucha kasza w gardło drapie – ano właśnie – najpierw jeszcze próbowała jakoś się dogadać, wytłumaczyć, że ona też ma swoje potrzeby, i nie tylko „tam”: oprócz organów płciowych nic cię więcej we mnie nie interesuje? I: jeśli miałeś jakieś plany na dzisiejszy wieczór, to nie zaszkodziłoby, gdybyś mi o tym powiedział, zanim pójdę spać, zamiast siedzieć i skrobać swoje grafiki, i w ogóle, wiesz, nie lubię sama się rozbierać... Dobra – obiecywał wesoło – jutro odegramy ci uwerturę! – ale jutro nigdy w końcu nie nadeszło. Chodź do mnie – ale wzięłam coś na sen – no to na „nim” zaśniesz. Boże, co za koszmar. Czy można w ogóle zrozumieć świat ludzi, którzy myślą o swoim organie płciowym w trzeciej osobie? Kiedy ci mówią, a ten facet tylko tak mówił: „Otwórz «ją»”, od razu

wszystkimi zmysłami przenosisz się na fotel ginekologiczny – bo to nie „ona”, to *ty* się otwierasz – albo zamykasz: w tym przypadku – na głucho. „Żebyś ty wiedziała, ile ja miałem kobiet! – i ani razu tak nie było, żeby – źle, po prostu źle!” Jasne, tobie nie było, a im, czyś ty kiedy spytał? Ja też nie myślałam, że może tak być – tak źle, żebyś ty wiedział, słoneczko! Dlaczego gryziesz? – z dziwnym, szkliście martwym spojrzeniem spytał po wszystkim, jednej z pierwszych waszych nocy, siedząc i paląc w nogach łóżka – co to za obyczaj? – tymczasem ty, rozłożona na poduszce, bezpieczna i uśmiechnięta, głaskałaś go po głowie wyciągniętą stopą, miałaś cudowne nogi, wszystkie modelki od Diora i Saint-Laurenta ze swoimi tykami powinny na widok takich nóg natychmiast rzucić się z mostu, a teraz już drugi miesiąc nie zdejmujesz spodni, bo twoje łydki są jak mapa pocętkowana archipelagiem różnobarwnych, czerwonych i brunatnych, obłazących i złuszczonych plam – blizny, skaleczenia, oparzenia, naocznie przedstawiające dziewięćmiesięczną (tak, tak, dziewięćmiesięczną!!!) *mad love*, która zrodziła prawdziwe *madness*, a wtedy tylko głaskałaś go stopą po głowie, przepełniona czułością, słodka idiotka, ostry męski „język” przyjemnie drapał cię w podeszwę – a on nagle sprytnie się wywinął,

przygniótł ci nogę do łóżka: – To tak? a więc chcesz gryźć? A jeśli ja cię zechcę teraz podpalić, to co będzie? – i zobaczyłaś przystawioną do zgięcia pod kolanem zapalniczkę, i zamiast ochłonać, wzięta na muszkę pytającego spojrzenia, po raz pierwszy wtedy przechwyconego, niewzruszonego i nie-ludzkiego: *jakiegoś innego*, złośliwego i bezrozumnego, na granicy szyderczego grymasu, niespodziewanie ukazującego górne kły spojrzenia, przed którym zawsze od tamtej pory broniłaś się śmiechem, trochę się tylko zdziwiłaś, jakoś nie do końca przytomnie – dziwne, jak dalece jego obecność, niby dynamit, zagłuszała w tobie wszystkie, do tej pory w sumie nie najgorzej rozwinięte instynkty samoobrony, które wypływały do góry brzuchami jak śnięte ryby – a rzeką wstrząsały kolejne wybuchy.

Nie, przecucia miałaś: przecucia nigdy nie zawodzą, to tylko praca do przodu siła naszego „chcę!” zagłusza ich wołanie, nie daje usłyszeć. Od razu pierwszego wieczoru, na tamtym festiwalu artystycznym, na którym wszystko się zaczęło – a on wtedy z miejsca ruszył ku tobie, jakby tylko na ciebie czekał: „Pani Oksano, jestem Mykoła K., może pani miasto pokazać, może pojedziemy na zamek, mam samochód” – do

słynnego zamku było jakieś dziesięć minut spacerkiem po cichych, obsadzonych barokowymi cerkiewkami, brukowanych uliczkach, ty tani fircyku, pomyślałaś, przygryzając uśmiech, prowincjonalny frajerze, wychuchany Narcyzie – śnieżnobiały kołnierzyk pod swetrem, zadbane paznokcie (u artysty!), lekki, w sam raz, zapach dezodorantu – kocur z siwym jeżem i szelmowskim zielonookim spojrzeniem, trochę znoszony, powyciągany artystyczny wdzięk, suche zmarszczki uśmiechu, pobrużdżone worki pod oczami – a ty powiedziałaś – wspominał później, kiedy rozpoczął się proces tworzenia tej wspólnej mitologii, bez której nie przetrwa żadna para, z legendą o Złotym Wieku fazy zakochania, z własnymi drobnymi obrzędami i rytuałami – rozpoczął się i zaraz ustał – powiedziałaś: „na drzewo, facet” – no, powiedzmy, nie tak, a raczej niezupełnie tak, ale nie byłaś zainteresowana, co prawda, to prawda – więc tym dziwniejszy był, wieczorem tego samego dnia, niespodziewany przebłysk jasnego, przenikliwego *widzenia na wskroś*, które, nie możesz narzekać, nigdy cię na ostrych wirażach nie opuszczało, raczej ty je w końcu tłumiałaś, nie raz, i to jak! – wieczorem, w kulminacyjnym momencie festiwalu, w gęstych oparach potu i alkoholu, w które zeszałaś ze sceny

po przeczytaniu swojego kawalka – dwóch wierszy, dwóch diablo dobrych wierszy – prosto w podchmielony szum zlewających się w jeden wszechobecny poblask żółtopłamych twarzy, a właściwie ponad nim – trzymając się dźwięku własnego, na nic niezważającego, słowom tylko podległego głosu, publiczny orgazm, tak się to nazywa, ale bierze słuchaczy – zawsze i wszędzie, nawet jeśli słów nikt za cholerę nie rozumie, nawet w obcojęzycznym środowisku, po raz pierwszy odkryłaś to kiedyś na spędzie pisarzy w pewnym azjatyckim kraju, gdzie z grzeczności poproszono cię o przeczytanie czegoś w twoim języku – *you mean, it is not Russian?* – i zaczęłaś czytać, z urazy i rozpacz (powściekali się z tym swoim „Russian” już wtedy!) słuchając wyłącznie własnego tekstu, chowając się weń, jakbyś nocą wchodziła do oświetlonego domu i zamykała za sobą drzwi, i w pół drogi nagle zdałaś sobie sprawę, że rozbrzmiewasz w dzwoniącej, osłupiałej ciszy: *język*, nieważne, że niezrozumiały, na oczach publiczności zbierał się wokół ciebie w przezroczystą, mieniąco-migotliwą, jakby z płynnego szkła wytopioną kulę, w której, widzieli to, odprawiały się jakieś czary: coś żyło, pulsowało, prostowało się, wybuchało pęknięciami, wzbierało płomieniami i znów mętniało, jak powinno

mętnieć szkło od zbyt bliskiego oddechu, zrozumiałaś – otulona, promienna i bezpieczna, wtedy właśnie powinnaś była zrozumieć, że twój dom – język, który naprawdę porządnie zna może jeszcze z kilkaset osób na całym świecie – zawsze jest z tobą, jak u ślimaka, a inny, nieruchomy dom nie jest ci pisany, kobito, choćbyś na głowie stanęła – potem wszyscy ci pucołowaci, łysi, czarni i kędzierzawi, w turbanach i bez, długo i ze wzruszeniem potrzęsali twoją ręką, nie pozwalając ci, nawiasem mówiąc, pójść do łazienki (twój żołądek zdecydowanie odrzucał ich mdło-korzenną kuchnię i buczał basem dokładnie wtedy, kiedy wypadało pięknie dziękować); od tamtej pory żadna widownia nie zbijała cię z tropu – nawet kryminaliści! – ekshibicjonizm czy nieekshibicjonizm – własny tekst bronił cię przed obelgami i ponizaniem, czytałaś tak, jak pisałaś – na głos, prowadzona przez władczą muzykę wiersza, proces, który na ogół odbywa się bez świadków, z wyjątkiem teatru – pewnie to właśnie tak porusza – i ta festiwalowa masa też przycichła gdzieś w połowie twojego występu – obległa szklaną kulę i zgodnie odetchnęła unisono, i kiedy w końcu, odprężając się po brawach, już nie na estradzie, ale na dole, w półmroku, w jakimś zwartym przyjacielskim kółku: duszno, dym, ktoś nalewa,

ktos się śmieje, twarze migają pojedynczymi kadrami – wyciągałaś rękę czy to po dającego ulgę papierosa, czy po kieliszek, ten facet na moment znalazł się obok, jakby niechcący się na ciebie natknął – z kocio świecącymi w półmroku oczami w zachwycie owionął wódczanym chuchem: „Byłaś ekstra!” – i tak samo mimochodem, w przelocie, spróbował uścisnąć ci rękę, przechwycić ją, sięgającą po papierosa (czy kieliszek) – zapamiętałaś to dlatego (bo kto wtedy nie ścisnął ci ręki w tym rozgardiaszu!), że tym niezręcznym gestem, zderzającym się z twoim – jakby człowiek z rozpędu wpakował się pod prąd – usłyszał milicyjny gwizdek – boleśnie wyłamał ci palec – i gwizdek w tym momencie rzeczywiście zabrzmiał; impuls, błyskawicznie przemknęło ci przez głowę dziwne, jak na taki zwariowany moment, jasne i trzeźwe, dogłębne zrozumienie: jakby ktoś obcy spokojnie, dobitnie, pełnym zdaniem powiedział w tobie: *Ten człowiek sprawi ci ból.*

Właśnie tak, dosłownie, i chodziło z pewnością nie o wyłamany palec, co doskonale rozumiałaś. I na tym właśnie rzecz polega, moja miła – że wszystko to od samego początku wiedziałaś, nie, wiedziałaś jeszcze wcześniej: któregoś wieczoru, jakiś tydzień przed wyjazdem na ten festiwal,

napięte nerwy, z bolesnym pragnieniem, jak bywa tylko jesienią, wybiegające w świat – na spotkanie jego gasnących barw i tajemniczych szelestów w zasypiających liściach – namierzyły fragment, którego wtedy nie pojęłaś i dlatego nie dokończyłaś: *Coś się stało na świecie: moje imię / Jak w męce ktoś wykrzyknął, / Ktoś liśćmi szeleścił na ganku, / Zasnąć nie mógł, przewracał się z boku na bok. / Uczyłam się nauki rozstań: / Nauki odróżniania bólu chorób / Od bólu tworzenia (ktoś pisał / Do mnie listy i rzucał je do pieca, / Nie kończąc zdania). Ktoś czekał / Ode mnie gestu, lecz milczałam: / Uczyłam się nauki rozstań* – no i spełniło się co do joty: ucz się teraz, ucz „nauki rozstań” – z życiem, ze sobą, z darem swoim nieszczęsnym, który teraz już nie wiadomo czy zdołasz unieść – jeśli do tej pory ani razu nie wycisnęłaś tej sztangi na pełną wysokość.

Ajaj, dupa blada...

No ale niechby kto w końcu wyjaśnił: po kiego *diabła* było przychodzić na świat jako kobieta (w dodatku na Ukrainie!) – z tą kurewską *zależnością*, wmontowaną w ciało jak bomba z opóźnionym zapłonem, z tą niesamodzielnością, z potrzebą przetapiania się na wilgotną, rozciapcianą glinę, wtłoczoną w glebę (na dole, zawsze lubiła

na dole, rozciągnięta na wznak: tylko wtedy ostatecznie pozbywała się siebie, łączyła rytm swoich komórek z promienistym pulsowaniem przestrzeni świata – z tym facetem ani razu nie było nic takiego; gdy tylko, zdawało się, zaczynała dochodzić, on, nie zatrzymując się, budził ją z góry ostro wytchniętym: „No, tu by się pułk wojska przydał!” – to śmieszyło, ale nic więcej: „Co to za teksty?” – obrażała się: nie o słowa, o obojętność tonu. – „Głupia, przecież to komplement! – w ogóle powinnaś z dwoma facetami spróbować, dopiero miałabyś odlot!” – całkiem możliwe, że miałabyś odlot, nie bez powodu przecież lubiłam w miłosnych grach ugryźć, wpić się ustami w palec albo ramię, zaciągnąć się do zamroczenia dogłębnym pocałunkiem; prostytutką świątynną – oto kim musiałam być w poprzednim wcieleniu, ale w tym – w tym życiu, serdecznie, wcale nie jest mi wszystko jedno, z kim jestem: pamiętam, kiedyś w nowojorskim metrze, gdzie siedziałam po uszy zatopiona w najnowszej powieści Toni Morrison, ktoś klapnął obok na siedzenie, całym ciałem przyciskając mnie do metalowej poręczy – i natychmiast przepalił mnie czysty niby wysoki muzyczny ton, tak potężny erotyczny zew, że ciało zareagowało nabrzmiewającą żądzą, napęczniało od środka jak wiosen-

ne drzewo; równocześnie dotarło do mnie, że tamten mężczyzna – kimkolwiek był – nawisał nade mną już od iluś stacji i gdybyśmy nie byli ludźmi, powinniśmy już teraz kochać się wprost na tej zaplutej podłodze, bo gdy się kochasz naprawdę, to łączysz się nie z partnerem, o nie – ale z rozpiętą, anonimową siłą, która swoimi prądami przeszywa wszystko, co żyje, podłączasz się do niej, by na kilka sekund – a-ach! – katapultować się w wibrującą ognistymi konturami czerń bez nazwy, bez granic, na tym opierają się wszystkie pogańskie kultury, to tylko chrześcijaństwo przypisało owo połączenie władaniu Czarnego Boga, zamurując człowiekowi wszystkie wyjścia z siebie, oprócz jednego – górą, ale w naszej epoce, mimo że w zasadzie jest postchrześcijańska, odcięto już drogę powrotną do orgiastycznego święta powszechnej jedności: my, każdy z osobna, jesteśmy beznadziejnie zarażeni przekłętą świadomością ciężaru i szczelnych granic własnego „ja” i dlatego zwycięsko czysty, donośny i wysoki muzyczny ton wyłączył się i zgasł w moim ciele, gdy tylko ten facet z prawej się *odezwał*: jakąś stację dalej z niesamowitym akcentem spytał, co czytam, uczę się czy co? studentka? – wtedy po raz pierwszy na niego *spojrzałam* – był to młody, koło trzydziestki,

niewysoki, ale krzepki, jakby wytopiony z jednego kawałka „spic”*, jego piękne migdałowe ślepia zaciągnęła pożądliva szarawa mgielka; tak patrzyły na mnie, każdy z za krat własnego życia, setki mężczyzn różnych nacji i kolorów skóry; można wyskoczyć na chwilę, ale czego nie można – to wyjść na zawsze. „*Pardon me?*” – zapytałam tym umyślnie ostrym tonem, którym odtrąca się natrętów, i ten Juan czy Pablo, czy Pedro od razu pojął, że to wszystko, koniec, wyłączono kontakt – „nie, nic”, burknął i coś jeszcze mruczał pod nosem, już po swoim, potężny, zwierzęcy zew jego ciała zwiądnął, opadł, zaczął szybciotko dogasać; obok mnie siedział najzwyczajniejszy natręt-emigrant, zresztą niebawem wstał i ruszył – czy do wyjścia, czy gdzie indziej, nawet nie spojrzałam, wróciłam do książki: *osoba*, ledwie wysunęła się na pierwszy plan, odczarowała *pleć*. Może naprawdę jedyne wyjście z tego więzienia to wymykać się wieczorami, z twarzą schowaną w kapturze płaszcza, wsiadać do przejeżdżających samochodów, nie podając imienia, ręka kierowcy na kolanie, niski, ochryply śmiech, gorączkowy szelest zbędnego ubrania, nie trzeba włączać światła, nie trzeba otwierać oczu, słuchać tylko

* pogardliwe przezwisko imigrantów Portorykańczyków

dudnienia krwi, męskiej partii perkusji i swojego czy już nie-swojego otwierania-rozstępowania się, *ale się fajnie otwierasz*, no! no! jeszcze! – ale wszyscy oni chcą *rozmawiać*, chcą siorbnać, rozmazując ślinę i spermę, choć łyceczek *ciebie*: a co czytasz, a dokąd jedziesz, a czy masz męża, trzeba wymyślać legendę; „*Kak was zowut? – Irina*”, było, raz było i tak, skończyło się mocnym, aż żelazistym w smaku pocałunkiem w bramie, wywinęła się – uciekła, śmiejąc się do siebie, wszyscy oni muszą *zwycięzać*, w tym cały problem, szczerze, uczciwie brać i dawać, jak dwutlenek-węgla-chlorofil-tlen, nie umięją, i ten facet, który teraz dogorywa gdzieś w pensylwańskiej puszczy na łasce amerykańskich braci Ukraińców, bez centa przy duszy i bez słowa po angielsku [a miał czas się poduczyć, bałwan jeden!] – ależ się wtedy rzucił, szarpnął głowę do góry jak koń podcięty batem, gdy posadziłaś go przy kawiarnianym stoliku i spróbowałaś, przywołując całą swoją cierpliwość, wnieść choć odrobinę terapeutycznej jasności w tę wspólną duchową i cielesną chorobę – wszystko to prawda, kochanie, i to, że cię już nie kocham, to też prawda: „A co – kliknął ostrzem do góry, jak nóż sprężynowy – myślisz, że jesteś taka «*pobieditelnica*»?» – chyba tak już zostałaś, siedząc z rozdzia-

wionymi ustami: Mykoła, czy myśmy się bawili w przeciąganie liny?... „Wiesz co – i znowu to złowieszcze, zamarłe spojrzenie, jakby *coś innego* patrzyło przez jego oczy w ostrych konturach poczerwieniałych powiek, jak przez rozcięcia w masce – gdybyś była facetem, tobym ci przyłożył!” To bardzo miło z twojej strony, kochanie, sama czasem strasznie żałuję, że nie jestem facetem). *Jesteś kobietą. To twoja granica. / Jak srebrna błystka śpi twój księżyc. / Jak szczyptą ziół na końcu noża / Twoją krew zaprawiono zależnością* – mruzczała do siebie podczas tamtych strasznych zimowych miesięcy, inaczej strasznych niż te jesienne: połowa stycznia, luty, marzec – żadnych wieści i żadnej możliwości, żeby się czegokolwiek dowiedzieć – przez Atlantyk, z Cambridge – z ukraińskiego prowincjonalnego miasteczka, z opalanej drwami pracowni na strychu opuszczonego domu bez adresu i telefonu, bez kibla i ciepłej wody, ledwie z gołą żarówką na skręconym sznurze pod sufitem, z pętem kiełbasy i puszką rozpuszczalnej kawy na umazanym farbami niskim stoliku: chcesz kanapkę? o, mam i pomidorka, chcesz? Boże, żyje chłop jak bezpieczeństwa pies, siedzi do szóstej rano, zza sztalug pilnując przez okno tego swojego wycackanego samochodu – trzymanego pod

chmurką! – jak się ma dwadzieścia pięć, no, trzydzieści lat, to jeszcze można coś takiego wytrzymać, zwierzęca energia napędza, ale jak się ma czterdziestkę! Tymczasem w jej domu w Cambridge, przemierzonym bezmyślnym krokiem z kąta w kąt – od drzwi wejściowych przez pokój do kuchni i z powrotem (praca, dla której przyjechała do Stanów, leciała jej z rąk, rozpadała się niby niedbale zbudowany domek z kart) – coś niepojętego działo się z telefonem: raz po raz wyrywały ją o świecie ze snu dziwaczne dzwonki, zrywała się, łapała słuchawkę: „Halo!” – gdzieś daleko na milczącej linii wycie wściekłego wichru i głuchy szum oceanu, przez kilka sekund nieprzytulna, bezludna przestrzeń nad północną półkulą dawała jej o sobie znać, jakby naprawdę tam „ktoś krzyczał w noc jej imię, jak w męce” – i nie mógł się dowołać, po czym niemy sygnał urywał się: podwodną zielenią migotały oczka przycisków na słuchawce i z głośniczka wylewało się bezduszne buczenie – o, wam obojgu wystarczyłoby mocy, żeby zablokować wszystkie linie telefoniczne nad Atlantykiem, ta wściekła, głodna życia moc kipiała z jego obrazów i twoich wierszy, rozpoznałaś ją od razu, jak tylko znalazłaś się w jego pracowni i, wsadziwszy na nos okulary o grubych szklach,

stanęłaś przed płótnami, a on tak samo musiał rozpoznać twoją moc – moc, która w te zimowe miesiące, tak nagle i doszczętnie zepchnięta ze swojej dopiero co odnalezionej orbity (bo byłaś przecież kobietą, kobietą, do stu tysięcy diabłów: wiotką rośliną, która bez prostej podpory, choćby nawet wyobrażonej – bez konkretnej twarzy żywej miłości – opadała i marniała, tracąc wszelką chęć do dążenia w górę: każdy wiersz był pięknym bękartem po jakimś księciu z gwiazdką na czole, gwiazdka zazwyczaj potem gasła, a wiersz zostawał) – rzucona na pastwę losu, ta siła rozrywała cię od wewnątrz, wściekle drapała ściany twojej istoty i szamotała się w rozpaczliwym zagubieniu. *I znów zapragnęłam krzyzczeć / Wyc do lampy albo kopać w ściany / Bo tak oczywista jest utrata / I bo na próżno ciebie czekam* – dopóki, pewnego marcowego dnia, nie ścisnęła jej w dolku dręcząca myśl, że umarł, ot, po prostu, wziął i umarł, „kopnął w kalendarz”, tak jak chciał (przyznał się jej do tego niemal na samym początku – z krzywym uśmiezkiem rozpędzając samochód, jak samolot na pasie startowym, pośród nocy na drodze za miastem, i mokre latarnie w drobnych igiełkach srebrzystej otoczki, i czarny tłusty błysk mijanych kałuż – wszystko zlało się, ławą

rzuciło na spotkanie, zapierając dech, sto, sto dwadzieścia, sto czterdzieści, sto... sto sześćdziesiąt? – nie boisz się? nie chciałabyś kopnąć w kalendarz? – nie, nie boję się, nie było we mnie prawdziwego strachu i nawet teraz tak naprawdę nie ma – dziwne, właściwie niezrozumiałe, do tego, jeśli wziąć pod uwagę całe moje, pozał się Boże, katorżnicze życie, które nie bez powodu zaczęło się przy narodzinach śmiercią kliniczną, mama wspominała, że już i nitka kału zwisała z pupki, i ciało posiniało: duszyczka wysunęła nos na świat i stchórzyła – oj, nie, puśćcie mnie z powrotem! – ale ją, dzięki Bogu, docucono, a skoro tak, to cóż, są rzeczy straszniejsze niż śmierć, i ja je znam, tyle że *tego* strachu – zwodniczego i ciemnego, rzucającej czar, przyciągającej fascynacji *zgubą*, która jest w nim i którą czasem dostrzegałam w innych – nie ma we mnie i kropka, dlatego właśnie patrzył na mnie z iskrami nieukrywanego zachwyty w oczach, nawet gdy było już po wszystkim: „Odważna z ciebie kobieta!” i ten „kalendarz” przeskoczył wtedy koło mnie, ale mnie nie nastraszył) – ale ta myśl – że umarł, że te zagadkowe telefony rzeczywiście są od niego „z tamtego świata”, co znaczy, że jej miłość go nie uchroniła, że ona sama, sama, narcystyczna egoistka, przez dumę

swoją głupią, tanią pychę, próżne zarozumialstwo, popchnęła go w ten „kalendarz”, a jakże, księżniczka się znalazła: ach tak? no to cóż, w takim razie jadę – wiadomo, Ameryka to *the land of opportunities*, pół Europy, nie naszej pieprzonej, tylko najprawdziwszej, od Brytanii do Włoch, tam się ludzie wrywają, forsa, kariera (wino, kobiety i śpiew – odpowiadał ironicznym echem), a na Ukrainie co, Ukraina – Kronos, który chrupie własne dzieci z rączkami i nóżkami, no i co, mam tak siedzieć, aż kopnę w kalendarz albo dziadziusia z emigracji, kiedy mi stuknie klimakterium, dadzą nagrodę Antonowiczów? – ach Boże ty mój, cóż to wszystko, do cholery, jest warte, jeśli umarł, co, co, co się z nim stało?! – ta myśl była tak nieznośna, że wyskoczyła na tylny ganek, podniosła twarz do migoczącego, szybko ciemniejącego nieba Cambridge w plamach chmurnego gwaszu, chłonąc zlepionymi od zasiedzenia i papierosów płucami ledwo odczuwalny powiew oceanu i zaczęła się modlić – tak jak wcześniej modliła się tylko dwa razy, raz za ojca, który dogorywał w szpitalu po niepotrzebnej już operacji, godzinami wijąc się ze strzelającego po przerzutach bólu (a narkotyków jeszcze nie dali) – aby Bóg dał mu szybki koniec, i drugi raz, wstyd wspominać, za niepodległość,

wtedy, dwudziestego czwartego sierpnia dziewięćdziesiątego pierwszego roku, gdy o wszystkim decydowały godziny, jak to zazwyczaj bywa w życiu ludzi i narodów: Boże, prosiła, drząc, dopomóż – nie ze względu na nas, bośmy niegodni, ale na wszystkich poległych naszych, niepoliczonych – i obydwie modlitwy zostały wysłuchane, *takie* modlitwy zawsze docierają do adresata, a teraz błagała: Boże, zrób tak, żeby on żył! – niechby o mnie zapomniał, niechby wrócił do żony, niechby mnie zdradzał, z kim popadnie – nie muszę go mieć za męża i nic od niego nie chcę, jeśli taka wola Twoja, Panie, będę kochać innego, innemu rodzić dzieci, tylko, o Boże, niech on żyje. I będzie zdrowy. I szczęśliwy. Tylko tyle, Boże. Tylko tyle.

No, „zdrowy i szczęśliwy”, to już, złociutka, równo przegiełaś, bo na siłę nikogo nawet Bóg uszczęśliwić nie zdoła, więc w ostatecznej redakcji twój szaleńczy telegram musieli otrzymać bez tych dwóch słów – gdyby Bóg słuchał głupiego poganiacza, całe stado by wyzdychało... (Ciekawe, swoją drogą, jak to tam u nich wygląda – czy jakiś anielski sekretarz odbiera ziemskie posłania przy aparacie, wybierając z całej lawiny *szczer*e, ciężkie i gorące i bez wahania wrzucając w czarną

dziurę nieistotne masy *pustych* słów? – tak samo bywa z wierszami: brzydną ci, jak tylko wyczerpie się złożę, i zostawiasz je nieskończone.) I jeszcze w jednym wtedy zagrałaś nieczysto: w „niechby o mnie zapomniał”: trzepnęłaś półprzytomnie, w rzeczywistości wiedząc na sto procent, że nigdy cię nie zapomni – o, teraz już nigdy, do końca życia: zgniótł niedopałek w dwóch palcach i trzasnął nim na odlew, aż pet zakreślił łuk w powietrzu: – A co ty myślisz, ile mam od ciebie odchodzić? No? – jakby powstrzymując się siłą, żeby i nią nie ciepnąć w ślad za niedopałkiem (Ty uważaj, ja jestem słaby człowiek, nawet zabić mogę – wyznał kiedyś, a tobie od razu błysnęło: otóż to! nie kłamie, prawdę mówi! – i, momentalnie przełączone na *bezosobową* zachłanną ciekawość, zawyły, zabrzęczały niewidzialne druty, gorączkowo przekazując informacje – zdołała wtedy z niego wydusić, mimo całej zaciętej odporności na wszelkie pytanka-proszonka-kotku-piesku-no-powiedz-mi-powiedz-żebranka – skąpą, kilkoma sztychami nakreśloną historię, jak kiedyś dawno, malując wiejską cerkiew do spółki „z jednym palantem, który mnie wkurzał”, doszedł do takiego stanu, że ganiał za nim z siekierą – czyżby wokół cerkwi, pomyślałaś i dlaczegoś wyobraziłaś sobie, że to było w nocy,

bo nie ma nic straszniejszego niż cerkiew w nocy z odbijającą się w ciemnych szybkach na górze pełnią – od tego czasu właśnie zrywa się do ucieczki za każdym razem, gdy tylko poczuje bliskość *tamtego* stanu ducha – *jasne*, mruknął, *ciekawe*, choć naprawdę ciekawy był, tu i dalej, całkowity brak strachu z twojej strony, jak krecha – i koniec, jakby wszystko to opowiadano przez barierkę w pokoju widzeń w więzieniu czy psychiatryku: wysłuchasz i pójdziesz, i z głośnym zgrzytem zasuną się za tobą okute blachą drzwi, i przeniknie cię podskórnym dreszczem suchy zgrzyt obracanego w zamku klucza.) Ile mam od ciebie odchodzić, ile ty ode mnie; *Skolko nam tak jeszcze idti, protopop?* – spytała żona pozbawionego święceń Awwakuma; brnąc za wygnańcem przez bezkresną równinę; znużona bezcelowością drogi, przysiadła na stosie chrustu – i usłyszała w odpowiedzi: – *Do samyja smierti, popadia*. Wschodni fatalizm, a jakże – Rosjanie to mają, z nami gorzej, trudniej, my jesteśmy właściwie ni to, ni owo, Europa zdążyła nas zarazić mętną gorączką indywidualnych dążeń, wiarą we własne „mogę!”, ale podstaw dla sprawdzenia tego, konkretnych struktur, które by to „mogę!” podchwytowały i utrzymywały, nigdyśmy nie stworzyli, szamotaliśmy się przez wieki na dnie

historii – nasze ukraińskie „mogę!” jest samotne i dlatego bezsilne. Amen.

Dlaczego sądziłaś, że *możesz* wyciągnąć go na własnym grzbiecie z tego dołu, w który, co było oczywiste, tak konsekwentnie się staczał? Właściwie powinna cię była ostrzec już pierwsza noc, kiedy, rozbierając się, zmrużył czujnie oczy, jakby chciał ocenić: – Możesz skończyć wcześniej niż ja? – zaśmiała się, przepelniona kipiela sił, jak gąsior młodego wina: – Ja wszystko mogę! Głuptasie, już wtedy powinnaś była zauważyć, że to nie partner – że, skamieniały we własnym wnętrzu na wieczną zmarzlinę, po prostu nie umie nie być sam, tak samo w miłości („Ale ty jesteś super w łóżku!” – wyjęczał w nią po długiej nieudanej szamotaninie, po męczyńskich kurczach, po wszystkich szaleńczych lamentach: No i po co tyle chlałem i: Cholera, a tak ciebie chciałem! – po zapadaniu w kilkuminutowy sen – samotny sen, na głucho odcięty od jej bliskiej obecności: nie drgnął, kiedy wysmyknęła się z jego objęć, a spadaj stąd, biedny impotencie, zaraz wstanę, ubiorę się, zrobię kawy, niedługo ruszą autobusy i będzie można wrócić do hotelu, w oknach pracowni nieodwracalnie bladła, rozwadniała się niebieskość świtu, w rozedrganym jak proto-

plazma mroku zarysowywały się kanciasto zwalonne pod ścianami sterty płócien – paskudna godzina, godzina chorych i czterdziestoletnich, pewnie w takiej właśnie mętnej szarości męczą się dusze na tamtym świecie – i wtedy to właśnie sprawił jej ból, prawdziwy ból, gdzie tam do niego wspomnieniu o utracie cnoty, *painful intercourse*, tak się to nazywa w literaturze medycznej, do której ona, zaszczuta durnota z sojuza, zabrała się dopiero w Ameryce, nawet do lekarza poszła, nękana przytłaczającym podejrzeniem, że coś tam się w niej może popsulo, Boże odpuść, i wytrzeszczyła z niedowierzaniem oczy, kiedy lekarka wrzuciła ramionami: *I don't see any problems* – ale wtedy wrzasnęła dzikim głosem – jeszcze po upływie doby wymęczona macica dokuczała jej jak przed miesiączką – szarpiąc się, wierzgając nogami: Boli mnie, boli słyszysz? – i poczuła – słysząc równocześnie zwycięsko-groźny okrzyk: No co, wyjdiesz za mnie? A dzieciaka mi urodzisz? Ty głuptasie, przecież cię kocham! – jak wewnątrz zapala się i rozlewa jego wilgotne nabrzmiące ciepło, och, ta chwila, wszystko dla niej, jeszcze, jeszcze, nie odchodź, głębokie westchnienie, wynurzył się z niej z twarzą tak umytą z lat, wygładzoną wilgotną poświatą szczęścia, aż wzrok jej zamgliły mimowolne

łzy czułości, w tych łzach chude, kanciaste, z odstającymi uszami i wydatnymi kośćmi policzkowymi wiejskie, powojenne chłopaczysko – ojciec w łagrze, po niemieckiej niewoli, matka w kolchozie przy burakach – stało z kijkiem na wygonie, po raz pierwszy oszołomione rozlanym na widnokręgu, jak okiem sięgnąć, purpurowym złotem zachodu w dymnosiwych strzępkach chmur, świat płonął i mienił się, wszystko to było w jego obrazach, wyzwolić to chłopaczysko z milkliwego i szorstkoustego, zadbanego i starannie ogolonego mężczyzny: – Nie masz dzieci? Twoje usta pachną niewypitym mlekiem – wezmę i zrobię ci dziecko, słyszysz? Synka. – To była całkiem samowystarczalna twórczość, w której twoje własne fizyczne niezaspokojenie nie tak znów wiele znaczyło; kiedy zostałaś sama – bo on owinął się w długopoły, przypominający szynel płaszcz i od razu skoczył się myć: dość chamski obyczaj, jak się zastanowić, ale nawet to cię wtedy nie zraziło – przeciągnęłaś się z pomrukiem, trzasnęły splecione nad głową dłonie, i wyznałaś sobie w myśli, z ochryplym śmiechem: no i wreszcie ktoś cię *wyjebał*, droga moja, tak właśnie, wprost – wyjebał, pierwszy raz w życiu, bo dotychczas wszyscy bardziej ci dogadzali, cackali się jak z jajkiem, wypyty-

wali, jakie słówka lubisz, a tu po prostu wziął i przeleciał po męsku, bez ceregieli – i co dziwne, nawet ta myśl nie była nieprzyjemna, a kiedy wyjęłaś z torebki lusterko, obawiając się z góry, co tam ujrzysz – trzecia doba bez snu, wszystkie wypalone papierosy i koniaki o północy, to dopiero festiwal! – to aż zajaśniałaś z radosnego zdziwienia: spojrzała na ciebie wypogodzona, odmłodziła, z odzyskaną urodą – delikatna i szczuplutka, niemal dziecięca buzia, z szeroko rozwartymi czarnymi oczyskami, którą zawsze znałaś jako swoją, ale której w lustrze nie widziałaś już czort wie jak długo: wróciłaś do siebie, byłaś *w domu* – a on siedział w nogach łóżka, palił i patrzył, jego nieustannie zwrócona ku tobie promiennie oczarowana twarz rozświetlała mroczną jeszcze pracownię – czasem pochylał się nad tobą, by leciutko, ze skrywanym uśmiechem, pocałować widoczne spod zsuniętego koca sutki i znów starannie, z chłopską powolnością, jak swoją własność, otulić cię po samą szyję, podać filiżankę kawy, „ostrożnie, nie chlapij”, a ty w tym samym momencie właśnie ją rozlałaś, trzęsąc się ze śmiechu, „a ja teraz ten koc wystawię i napiszę, kto go zachlapał” – i znienacka: – Czemu płakałaś? – nie powiem, nie, jeszcze nie powiem, powiem

dopiero dużo później, za miesiąc, a raz powiedziane będą powtarzać niemal co chwilę: z braku innych, pojemniejszych słów – kiedy nie ma cysterny zdolnej wyczerpać bezdenną studnię, pozostaje tylko raz po raz opuszczać i wyciągać to samo dziecinne wiaderko – monotonia powtarzania, skrzypienie żurawia: Kocham cię. Kocham cię. Kocham cię.)

No i masz, babo, placek: zakochałaś się. I to jak się zakochałaś – wybuchłaś na oślep, skoczyłaś głową naprzód, dzwoniąc w przestrzeni wiedźmim śmiechem, porwana przez niewidzialne, władcze prądy, i tamten ból cię nie powstrzymał – a powinien – ale gdzież tam, powycinałaś w sobie wszystkie tablice ostrzegawcze, żarzące się czerwonymi lampkami na granicy przegrzania – jak przed awarią elektrowni atomowej – i tylko wiersze, które natychmiast popłynęły ciągłym, nieprzerwanym strumieniem, wysyłały niedwuznaczne sygnały niebezpieczeństwa: natrętnie przebłyskiwały w nich piekło, śmierć, cierpienie, *I żółte morze dni, i siwe morze snów, / Odbijające kolor umierającego nieba, / I ja wciąż płynę – a ty już na dnie, / I boimy się oboje spojrzeć sobie w twarz:* A więc wiedziałaś? – wściekł się, błyskając wilczymi

światełkami oczu, kiedy się odważyłaś – nie mając już nic do stracenia – coś z tego strumienia przeczytać mu na głos – wiedziałaś, że tak będzie? To po jaką?... Ech, mój miły, na tym cała sztuka polega...

Oj nie, nie była masochistką, była, kurza twarz, normalną kobietą, jej ciało cieszyło się, dając radość drugiemu, zresztą, co tu dużo gadać, fest laska z niej była, *diewoczka śladieńkaja, fantastyczeskaja ženszczina, stud woman*, obracaj teraz, obracaj w pamięci, jak księgę pamiątkową (okrzykowaną), te chwile, w których faceci nie kłamią, może chociaż szczyptę równowagi sobie w ten sposób przywrócisz: no bo byłaś! – ale nie, równowaga nie powraca, nie ratuje, co z tego, że była, że zawsze przy tym czuła, z niekiedy silniejszym, niekiedy słabszym, ciemnym osadem niedospełnienia, jaka jeszcze *mogłaby* być – bo są w życiu rzeczy od nas niezależne, bo jestem taka, jaki ty jesteś dla mnie – u facetów wygląda to trochę inaczej, u kobiet niestety tak – i, niestety, pod każdym względem, i żeby nie wiadomo ile staników spaliły amerykańskie feministki, od masturbacji – nieważne, czy za pomocą gumowego penisa czy żywego człowieka, bo z żywym człowiekiem to też nie jest nic innego, jak mastur-

bacja, jeśli bez miłości – a więc od masturbacji nie przybędzie ani dzieci, ani wierszy. I już, i kropka. „Tego nie przeskoczysz”. Jak ten wiersz z Cambridge się kończył? *Pole, które pragnie brony, / I mokre, zapłakane wrony – / I mąż, który nie obronił – / Lecz ode mnie oczekiwał obrony. Ano, exactly* – albo, jak kto woli, *wot imiennie*.

A *propos*, to właśnie jest parszywe w obcym kraju – przyczepiają się do człowieka, wpadają jak pyłki do nosa, złapano w locie cudze słówka i zwroty, zalepiają pory w mózgu, natrętnie pchają się pod rękę, nawet kiedy jesteś sam na sam ze sobą – i nawet nie zauważasz, jak zaczynasz mówić „circa z aboutem”, czyli powtarza się to samo, co było w domu (w domu? opamiętaj się, kobito, gdzie jest ten twój dom?), no dobra, w Kijowie, na Ukrainie, z rosyjskim: wsącza się po kropli z zewnątrz, zasycha, kamienieje i musisz albo bezustannie prowadzić w pamięci czyszczące tłumaczenie synchroniczne, co brzmi wymuszenie i nienaturalnie, albo przywyknąć, jak my wszyscy, samą intonacją brać obce słowa w cudzysłów, stawiać na nich jakiś taki prześmiewczo-ironiczny akcent, jak na nibycytatach (ot, choćby ten przykład, który można jutro przedstawić studentom na zajęciach: „Ty co, myślisz, że jesteś taka «*pobieditielnica*»?”).